1846. Nr 26. ROK 5.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

WSCHÓD I ZACHÓD.

Budowa niebios, planetarne kuli naszéj położenie i kształt jeograficzny jéj powierzchni, są w związku z moralném usposobieniem narodów.——

Powierzchnia ziemi wygląda jakoby scena przygotowana do wielkiego dramatu, który ludzkość odgrywa w historyi.—

Bóg rozpisał po ziemi myśli swoje o ludzkości; pismo jego wyrosło w gór łańcuchy, popłynęło rzekami, roztoczyło się w morza zalewy.

Odpowiednio do moralnego ludów usposobienia i charakteru jaki odznacza wypadki, Historya powszechna, dzieli się na dwie osobne całości wschodu i zachodu.—Różnica pomiędzy niemi jest wielka, inny zupełnie duch ożywia wschodnie narody, inny skład ich myśli i sposób pojmowania.—Ich wyobraźnia, pełna czarownéj fantazyi, wszystko w jaskrawe ubiera kolory, czucie z nerwową gwałtowanością wybucha i mąci myślami.——Na zachodzie daleko więcej znajdziemy

harmonii pomiędzy czuciem, rozwagą i wyobraźnią, braknie tam wprawdzie często zapału, lecz zato daleko rzadziej braknie zrozumienia rzeczy i wytrwałości.—Europa silna tą zgodą, wzięła nareszcie przewagę nad ludami Azyi.

Indye są kolebką oświaty, nie masz na świecie krainy, w którejby człowiek znalazł podobnie zebrane warunki dobrego bytu; ryż rośnie tam bez uprawy, rozmaite owoce dają pokarm zdrowy i obfity, bujna ziemia nie wiele około siebie wymaga pracy, nie trzeba tam toczyć walki o źródło wody, bo wszędzie jej podostatkiem, a cieniste drzewa zasłaniają od skwarnych zwrotnika upałów.—W Indyach też znajdujemy najdawniejsze starożytności zabytki, ztamtąd oświata rozchodziła się zwolna po sąsiednich ludach;—Religijne mythy Braminów napotykamy rozsiane po całej niemal starożytności, przekształcone tylko odpowiednio do usposobień każdego narodu, w językach europejskich uderza nas podobieństwo z dawnym Sanskrytem.—Ze względu na pochodzenie swoje, ludy zachodnie noszą nazwisko Indo-Europejskiego szczepu.

Kiedy wschód kwitnął już wysoką oświatą, cały zachód przedstawiał jeszcze rozległą puszczę, dzikiemi zamieszkałą ludami.—Oświata wschodu udzielać się zaczęła Europie przez Egipt, Fenicyę i Azyę mniejszą, zetknięcie ułatwiła im żegluga na morzu Czarnem i Śródziemnem.—Z upływem wieków Zachód traci pierwotną surowość i wtenczas świat starożytny przedstawiał długie pasmo ludów ucywilizowanych; pasmo to ciągnęło się przez strefę południowo-umiarkowaną, od Oceanu spokojnego do Atlantyku; przestrzeń ogromna lecz wązka, usadowiona w najpiekniejszym klimacie, pełna zatok morskich, rzek, wysp i półwyspów.

Ludy zamieszkujące przestrzeń tak ogromną, nie mogły ciągle w ścisłych z sobą zostawać stosunkach, ztąd odpowiednio do natury zbliżających je okoliczności, świat starożytny podzielił się na dwie części, na dwa systemata historyczne; Arabia, Persya, Indye, Egipt, ze swojemi morzami i rzekami, ze swojem wyłącznem ducha usposobieniem, składały jednę całość, przerabiającą wewnątrz siebie osobne żywioły swego istnienia.—Druga podobna massa urosła nad brzegami morza Śródziemnego pod przewodnictwem Włoch i Grecyi.

Charakter moralny obu tych całości rozwijał się pod wpływem miejscowym; na wschodzie zapobieganie materyalnym bytu potrzebom daleko mniej zabierało czasu, stąd większa łatwość oddawania się pracom umysłowym i wcześniejszy popęd do nauk.

Kierunek, jaki od początku biorą władze umysłowe człowieka, od bardzo wielu zawisł okoliczności, lecz głównie zawisł on od rodzaju wrażeń, pod których wpływem bezustannie zostajemy, bo wyobraźnia wrażenia te zbiera i dostarcza z nich myślom pokarmu.

Na wschodzie wszystko cokolwiek zasoby wyobraźni wzbogaca, w większych jak wszędzie przedstawiało się rozmiarach; stąd dusza wschodu przywykła do otaczającego ją zewsząd ogromu, rozkołysana poezyą czarownéj natury, łatwo traci z oka drobniejsze rozmiary, i saméj tylko nadzwyczajności szuka, zbyt ciasno na ziemi dla jéj natchnienia, unosi się w nieskończoność, błąka po krainie fantazyi, czuje pociąg do abstrakcyi.

Któż może obojętnie spoglądać na olbrzymi wschodu krajobraz, z jednéj strony ocean bez granic otoczył stałe lądy, z drugiéj wyniosłe szczyty Tybetu, dzielą Indye od innego Oceanu nieprzebytych step Tartaryi, na prawo Arabia, gdzie słońce brodzi wśród pyłu chmur piaszczystych,—głębię zapełniają cieniste lasy, sterczą olbrzymie drzewa i kwiaty *), przy których dąb północny jest tylko karłem; wejścia do nich strzeże tygrys królewski, lub boa w błyszczące zwinięty kręgi.

Na wstępie do tego czarownego panoramu rozciąga się kraj położony między Indyami, Odnogą Perską, Arabią i morzem Czarném, nie przedzielają go żadne trudniejsze zawady, otwarta zewsząd droga zapędom zdobywców, powstają tam ciągle groźne monarchije, oręż je

*) Dla lepszego oddania wrażeń jakie bujna roślinność niemi obudzić tam może, sądzę, że nie od rzeczy będzie wspomnieć o gatunku palmy zwanéj *Tali-pat*, drzewo to dochodzi wysokości stóp dwustu, liście rozmiaru stóp szesnastu; liście te trwałe i giętkie używane były zamiast papieru, pisano na nich ostrém narzędziem.—Tali-pat raz tylko kwitnie w ośmdziesiątym roku swojego życia, pąk otwiera się z łoskotem, kwiat jego biały dochodzi do wysokości stóp trzydziestu, zawiązują się potem orzechy w kształcie winogrona, po dwudziestu miejscach wysypują i drzewo usycha.

wznosi, i oręż z łatwością obala, do każdéj niemal walki występują krajowe zastępy, słonie, jakby wieże ruchome, przesuwają się po polu bitwy.

Z czémże się dadzą porównać, olbrzymie architektury wschodniéj zabytki, ślady ich sterczą gdzieniegdzie wśród ruin, z czém porównać te całe gór szczyty dłutem przekształcone w postać człowieczą, świątynie wykute w skałach, przepełnione tysiącami posągów.—Bogactwo, mnogość rąk, despotyczna panujących władza, ułatwiały wykonanie dzieł podobnych.—Tysiące ludzi pracowało nad urzeczywistnieniem poetycznego marzenia, wnętrze skały przemienione w świątynię, stanął wielki pomnik sztuki, a człowiek z przerażeniem na własne spogląda dzieło; sztuki pojęte w rozmiarach starożytnego wschodu, ogromem swoim ciążą uczuciu piękna.

Czémże jest człowiek pośród téj wielkości która go zewsząd otacza?—Traci on wiarę w osobistą swoją potęgę; niema jéj w potęgę państwa którego jest cząstką, bo te wschodnie mocarstwa wznoszą się i upadają co chwila, a wojenne zastępy jedne na drugie bezustannie spychane, mieszają ciągle szczepy ludów.—Ustawa kast, odbiéra resztę zaufania w siebie samego, jakże przełamać nie cofniony wyrok losu, który przy urodzeniu dotknął człowieka?—Fatalizm ogarnia ducha, czucie jak płomyk zorzy Borealnéj, błąka się po otaczającéj go wielkości, i nie ma przylgnąć do czego, nadaremnie rzuca się w objęcia religii, kasta duchowieństwa stanęła pomiędzy nim i Bogiem, fanatyzm zatruł źródło pociechy, z którą czysta wiara przychodzi w pomoc człowiekowi.

Religijne wschodu wyobrażenia z jednéj strony nacechował gruby fanatyzm, z drugiéj abstrakcya bez granic, wschód utracił z oka stosunek pomiędzy Bogiem i człowiekiem, wpadł w odchłań nieskończoności w Ekstazyę Fakirów.—Na drogę tak niebezpieczną powiodła go skłonność do marzeń, marzenie stało się roskoszą, bo dusza w marzeniu tylko czuła się swobodną.—Jakże nie marzyć pośród takiéj natury, pod cieniem wysmukłéj palmy, kiedy słońce sieje żar do koła?—Jakże nie marzyć pośród chłodu wschodniéj nocy, po nad głowami gwiazdy jaskrawe, a ciemności otaczające nas do koła wyobraźnia zaludnia tysiącami widm fantastycznych.

Pod takiemi wpływami snuł się ruch wschodnich myśli—czyn obojętniał, rosła poezya.— Dusza człowieka ulatując w nieskończoność, traci z oka skończoność, ziemię, rzeczywistość.—Ziemia, dla niego za mało, niebo za wysoko, w nieskończoności nie znalazł czynów dla siebie, bo tam Bóg wszystko wykonał, a otaczająca go rzeczywistość nie zdała mu się godną jego pracy.

Na Wschodzie wyobraźnia wygórowała nad rozwagą. — Obok takiego stanu duszy, wewnętrzne życie wre całym ogniem zwrotnika, i z całą gwałtownością czasami wybucha, ale czyn, który wtenczas działa, jest tylko fantazyą, poematem wyobraźni, nie masz w nim tego celu i wytrwałości jaką zdrowa rozwaga nadaje; błyśnie chwilową wielkością i prędko przechodzi jak pieśń, jak marzenie; żaden ślad po nim nie zostaje.

Z téj téż przyczyny historya wschodu traci interes, bo nie masz w niéj ciągu wyrozumowanego, nie masz postępu ludzkości; opowiada ona same tylko bezowocne walki i zniszczenia, przez które ród ludzki nie zdobywa żadnéj prawdy moralnéj; pamięć plącze się tylko w mnogości dat, nazwisk i rewolucyi, które jako uragan przeszły bezużytecznie zostawiając tylko po sobie ślady coraz większego zniszczenia.

Inny zupełnie charakter przedstawiają nam dzieje Europy......

W innych téż warunkach rozwijały się moralne usposobienia ludów zachodnich.—Ogniskiem oświaty europejskiéj, były brzegi morza Śródziemnego; ziemia tam dosyć bogata, więcéj jednak niżeli w Indyach potrzebuje ręki człowieka. Powierzchnia tych krain podzielona gęsto przez rzeki, góry i morza zalewy; wody zapełnione mnogością wysp i półwyspów, ztąd początek nieprzeliczonych władztw drobnych, lecz udzielnych.—Każde to małe państwo silne w swojéj posadzie, bo przeszkody naturalne dzielące je między sobą, utrudzają ruchy wojennych napadów—a nie wielka w początkach ludność Europy, nie pozwala zebrać siły odpowiedniéj do wykonania rozległych podbojów;—każde to małe państwo dotyka morza, stąd łatwość rozległych stosunków.

Zawiązała się najbogatsza różnorodność i współubieganie, podział prac historycznych posunięty do wysokiego stopnia w drobnych narodowościach.—Despotyzm kast nie zacierał nigdzie osobistych przymiotów człowieka, na polu bitwy, na obradach zebranego ludu, w zawo-

dzie naukowym wszędzie otwarte pole zdolnościom obywatela *). On się tam czuje potrzebnym, szukanym, i nabiera uczucia własnéj godności.—W podobnym stanie rzeczy zamiłowanie ojczyzny wzrasta bez granic, bo wielkość kraju jest dziełem każdego.

Dla ludów europejskich wystarczała ciągle rzeczywistość, każdy pragnie usadowić się na swojéj własnéj ziemi, zwalczyć trudności jakie napotyka, zrozumiéć wszystko cokolwiek ma związek z jego bytem.—Obok tak czynnego życia nie masz czasu dla płonnych marzeń, myśl nie buja po krainie fantazyi, pilnuje rzeczywistości, pilnuje ziemi na któréj ma tyle do robienia.

Ztąd też oświata Europy zupełnie odrębny przybrała charakter, w jéj rozwoju jest ciągły porządek, zaczyna się ona od pojęć elementarnych od skończoności, która jest najbliższą i najzrozumielszą dla człowieka, potém stopniowo od epoki do epoki rozprzestrzenia horyzont swoich badań: silną podstawę na któréj się oparła.—Europa starożytna nie wiele się wdawała w abstrakcyą, lecz odpowiednio do sił swoich zapoznaje się pierwéj ze światem widomym, ze światem zmysłów, szukając we wszystkiém dotykalnego niemal pewnika.—Taki kierunek wzięły sztuki, poezya, religija.—Ówczesną sztukę odznacza piękność i harmonia formy zewnętrznéj, nie masz w niéj jeszcze tego polotu do ideału moralnego wszech piękna, jaki średnie wieki odznacza w malarstwie, epokę nowoczesną w muzyce.—Dawna poezya nie tyle bogata w płody rozbujałéj wyobraźni niżeli poezya wschodu;—towarzyszy jéj ciągle zdrowy rozsądek, a czucie nie przechodzi nigdy w naiwną gwałtowność, na tém właśnie zasadza się piękno starożytnego klassycyzmu, piękno, którego zakres w epoce nowożytnéj rozprzestrzeniła twórczość natchnienia.

*) Starożytnéj arystokracyi w Europie nie można nigdy porównywać z podziałem indyjskim lub egipskim na kasty, gdzie każdy rodził się księdzem, żołnierzem, kupcem lub pogardzonym Parią. Tam przejście z jednéj kasty do drugiéj było zupełnie niepodobném, stawała mu na przeszkodzie religija. W Europie Plebejusz napotykał mniéj więcéj zawad, zawsze jednak miał otwarte do odznaczenia się pole w duchowieństwie, naukach, handlu lub wojnie.

To stopniowanie nie miało w niczém miejsca na wschodzie, w ich mythach religijnych objawiało się wprawdzie wczesne pojęcie Bożéj jedności, myśl przeleciała odrazu do szczytu, przeskakuje szczeble pośrednie, lecz oko nie nawykło do téj wysokości stopniowym ku niéj pochodem, traci rozmiary, nie pojmuje stosunku pomiędzy Bogiem i człowiekiem, skończonością a nieskończonością, wpada w odchłań panteizmu, lub religijne swoje pojęcia dziwotwórnemi płodami fantazyi bałamuci i uporczywie przy nich obstaje.

Dla Europejczyka niebo musi być tak pełne ruchu i życia, jako ziemia jego pełną jest czynów.—Bogowie mitologii są dziećmi czasu, księga przeznaczeń, Fatum starożytne jest prawem dla samego nawet Jowisza.—Fatum odpowiada wprawdzie pojęciu Bożéj jedności, ale ten Bóg tajemniczy nie odbiéra bezpośredniéj czci od człowieka, księga przeznaczeń spoczywa w ręku Jowisza, on tylko w niéj czyta i błyskawicą kartki przerzuca, a człowiek odnosi się do władzcy Olimpu bogów jak on stworzonych, burzliwych, namiętnych. Olimp zajął miejsce pośrednie między skończonością i nieskończonością miejsc odpoczynku, myśl na szczytach jego osiadła i tam nabiéra wprawy do lotu; w tajemnicach Elduzyńskich lub Sametracyi, w szkołach filozoficznych bada po kolei głębokość swoich wyobrażeń religijnych.

Duch ludów zachodnich pod opieką objawionego słowa, pierwszy raz zapuścił się w krainy ideałów, ale chrystyanizm przejście to z całą względnością do usposobień wieku działa, a słowo Ewangielii rośnie w pojęciu ludów z postępem oświaty, i ich przyszłości wystarcza.

Szukając przeto różnicy pomiędzy moralném dwóch tych części świata usposobieniem, sądzimy, że w Europie panuje rozwaga, na Wschodzie fantazya, czyny są tam tylko wypływem chwilowéj natchnień gwałtowności, niemniéj na celu wyrozumowanego ducha postępu.—

W historyi powszechnéj widzimy obok siebie dwie olbrzymie massy, ich byt rozwija się w osobnych warunkach, lecz jednéj i drugiéj brakuje pewnych żywiołów. Na wschodzie czucie i wyobraźnia, nie prowadzone rozwagą, działają ciągle szkodliwe zboczenia.—Na zachodzie rozwaga nie ożywiona całą potęgą natchnień i wyobraźni, traci bodźca ruchu i nieraz w biegu ustaje, brak jéj twórczego zapału.

Przekonywamy się także z historyi, że istnieje pewne różnoważenie się usposobień dwóch tych całości; od chwili do chwili burze polityczne spychają na siebie obydwie massy i mieszają je wzajemnie, a wtenczas zapał wschodniego natchnienia ożywia czynność europejczyka, a rozwaga zachodu powściąga fantazyą azyatyckich ludów.

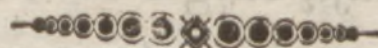
Dwie te części świata stoją naprzeciw siebie jakoby dwa stosy galwaniczne; z jednéj strony Azya mniejsza, z drugiéj półwysep dawnéj Grecyi sterczy w kształcie dwóch przeciwległych konduktorów, po nich jakoby iskry płonące przelatują czasami tłumy zbrojnych zastępów, mieszając dwie elektryczności dodatnego i ujemnego płynu.—Za każdém podobném wstrząśnieniem objawiają się wielkie zmiany w charakterze dziejów powszechnych obudwu, jako to miało miejsce przy wyprawach Persów na Grecyę Aleksandra Wgo. W czasie podbojów Rzymu, krucyat i t. p.—Przepełnione życie szukało czasami rozleglejszego odpływu. Przechód ludów odbywa się po drugiéj stronie morza Czarnego, Araby podbijając brzegi Afrykańskie, sadowią się w Hiszpanii i stamtąd grożą Europie.

Taki stan rzeczy obwieszcza nam przeszłość historyi dzisiaj z postępem oświaty, z rozprzestrzenieniem stosunków człowieka po całéj kuli ziemskiéj, nie ustało to wzajemne przyciąganie się dwóch części świata, i coraz silniéj się objawia, dzisiaj zachód wziął chwilowę przewagę nad Azyą i od północy do dalekiego południa lądem i morzem podbija jéj krainy.

Odłóżmy na bok chwilowe gwałty i nadużycia gry interessu własnego w podbojach tych wywołane, podobny stan rzeczy sprowadzi w końcu bogate następstwa: rozwaga Europejczyka przyszła tu w pomoc duszy wschodu schorzałéj i osłabionéj przez urojenia własnéj fantazyi.—Ludy Azyi zaczynają się kształcić na naszych wzorach.

Tymczasem na drugiém półkolu ziemi rośnie trzeci olbrzym, zaludniła go niegdyś Europa, po wytępieniu dawnych jego mieszkańców. Ale on w końcu stanowczo z nią zerwał, i własne rozwinął życie.

N. W.



POD WŁOSKIEM NIEBEM,

Fantazya,

przez J. J. Kraszewskiego.

Już nowe dziełko, pod tytułem: *Pamiętniki nieznajomego*, pióra p. Kraszewskiego, opuściło prassę, gdy jeszcze nie pośpieszliśmy zdać sprawy czytelnikom o wartości powieści a raczéj *fantazji*, jak ją słusznie autor nazwał *pod Włoskiém niebem*;—pan Kraszewski tyle już napisał powieści, szkiców, dramatów i poezij—słowem tylą utworami choć różnéj wartości obdarzył naszą literaturę, że słusznie za jednego z najznakomitszych powieściarzy powszechnie jest uważanym—nie myślimy Mu zaprzeczać tego tak ciężko zapracowanego miejsca, jakie zajął w piśmiennictwie—owszem, mimo że często nie sympatyzujemy z ideami anti-panteistycznemi pół-filozoficznych jego rozpraw, mimo że ranimy się w estetycznym sądzie w Ateneum zamieszczonym; mimo że poetyczne, t. j. wprost wierszem pisane Jego utwory z wyjątkiem Witoloraudy za mierne zaledwie uważamy, zawsze jednak gotowi jesteśmy przyznać, że Kraszewski prócz Sztyrmera i J. B. Dziekońskiego, śród miejscowych powieścio-pisarzy do dziś, nie ma spół zawodników.—Fantazya *pod Włoskiém niebem* utwierdziła w nas tém mocniéj takie przekonanie, bo jeśli, słusznie może zarzucano Kraszewskiemu, że w ostatnich belletrystycznych jego tworach brak było téj energii, pióra, téj świeżości wyobraźni, jaka odznaczała pierwotne jego płody, to w obecnéj fantazji jakby na usprawiedliwienie się talent jego zajaśniał całą potęgą młodości—wszystkiémi kolorami stylu.—Rzeczywiście, treść, osnowa *pod Włoskiém niebem* jest tak szczupła, tak mało efektowa, że trzeba było tak umiejętnie, tak *pięknie* obrobić

ją jak jest, by zwyczajne dzieje serca marzyciela, podnieść do tak wysokiéj artystycznéj wartości. — Oto krótki zbiór, treści, raczéj intrygi fantazji: Jan, młody entuzijasta, marzyciel—wykarmiony utworami fantazji—utraciwszy samoistność myśli pod wrażeniem idelnych piękności poetycznych—jeden z tych dzisiaj dość licznych ludzi, co świat swego serca zaludniając eterowemi postaciami bohatyrów, zamierają w proste a właściwe pojęcia świata, śród którego życie ich bieży—usiłuje urzeczywistnić marzenia nabyte—chce *doznać*, użyć potężną namiętność, jaką serce jego wykarmiła—chce kochać i być kochanym ale nie zwyczajnie, lecz namiętnością pokutujących duchów wpodziemnym świecie Danta—biedny Jan! nie wiedział że poeta wtedy dopiero maluje pełne uczucia i namiętności obrazy, wtedy rysuje dokładnie każdą wibracyę serca, każdą tęsknotę duszy, gdy już własne jego serce w zimny popiół się zmieni, gdy jego dusza wyschnie na drodze życia jak dzikie ziele na stepach—otoż Jan sądząc że rozwijanie się uczuć, byt ich słabszy lub potężniejszy zawisł od wpływów klimatu—jedzie do Włoch szukać sobie *Franczeski*—dla tego, rzuca swoję narzeczoną Emiliję—i mimo rozsądnych uwag przyjaciela, wyjeżdża—w Rzymie—po niejakimś czasie znajduje czego szukał—Transtareranka *Pepita* ma urzeczywistnić marzenia entuzijasty—lecz aby posiadać Pepitę, trzeba ją wyrwać z rąk opiekuna, który pilnuje ją troskliwie jako towar na sprzedaż—jakoż podczas gdy Jan leczy się z ran odebranych w walce z współzalotnikiem, ziomkiem Pepity.—Paslo (opiekun) sprzedaje ją staremu bogaczowi Maladecie na wagę złota.—Jan przychodzi do zdrowia—z pomocą przyjaciół, młodych artystów, wykrada Pepitę, poczyna wreszcie kosztować długo oczekiwanego szczęścia, przez czas jakiś miłość trwa obustronnie—z równą mocą—nakoniec, jak zwykle—Pepita—zdradza swego kochanka i opuszcza go dla jakiegoś młodego Transtarenina Lucio — a Jan — rozczarowany z ułud młodości—pozbawiony energii życia — zniszczywszy zdrowie, umiera samotny, prawie na ręku ziomka, księdza—a narzeczona jego Emilija—przywdziewa żałobę po niewdzięcznym i całe życie w sercu ją nosi.—Otoż i wszystko.—Powiedzieliśmy już, że główna wartość fantazyi leży w samém jéj obrobieniu—powtarzamy to raz jeszcze, bo każdy prawie z obrazków składających całość, wydany z wielką sztu-

ką i znajomością rzeczy.—Szczególniéj też analiza serca, jak się zdaje dominujący cel tego utworu, powiodła się autorowi nadzwyczaj—tyle prawdziwego zapału wyraził Kraszewski w figurze Jana, że według nas nic do życzenia nie pozostaje—lecz podobna dyssekcija uczucia, to dopiero podrzędna dążność dzisiejszej powieści—obecnie szukamy więcéj w utworach talentu, szukamy idei—bądź filozoficznej ale właściwej—postępowej—bądź wprost utilitarnej, t. j. kwestyi społecznej, żyjącej—w obu razach, chcemy aby figury dramatu były *wyrazami* tych idei aby charakterystyka dokładna uwydatniała te wyrazy, a staranne artystyczne obrobienie podnosiło wartość wpływową całego utworu.—Otóż więc fantazya *pod Włoskiém niebem* z takiego stanowiska uważana, straci wiele na wartości—bo jakkolwiek ta idea główna znajduje się, ta istotnie to figura Jana wyrazem jej będąca, jest zaledwie posążkiem tylko, dość kształtnym wprawdzie, lecz niezmiernie różnym od owych monumentów sztuki plastycznej wyjętych z Tybru lub ożywionych wszechmocnym Pigmaliona wyrazem.—Chcielibyśmy wytłumaczyć się jaśniej: otoż, jak powiedzieliśmy wyżej, wartością główną każdego utworu jest idea rozwinięta, *wyrażona.*—Za wyraz jéj chcemy mieć koniecznie figurę dramatu dokładnie ucharakteryzowaną—jeźli charakterystyka będzie chybioną choćby w drobniejszych odcieniach, lecz jeźli stąd powstanie zaciemnienie jakiegoś kształtu figury—a następnie *wyraz* idei nie *wyrazi* jej dokładnie—wtenczas poeta w oczach sztuki robi błąd podobny jak rzeźbiarz, gdy wykształciwszy dokładnie posąg, skłamie w rysach jego uczucie, *wyraż*, lub zaciemni psychiczne jego znaczenie—lecz tego w figurze Jana nie ma.—Chcieliśmy tylko zrobić porównanie takie, dla tego, że obecnie za najwyższe pojęcie każdej sztuki uważamy pojęcie jej *w ciele*, *w życiu*, *w fakcie*—czyli, by jej twory—miały ruch, życie i działanie—zresztą widzimy jasno, że dzisiaj tak poezija, jak również malarstwo i muzyka coraz plastyczniej objawiają się, to jest uwydatniają sobą, ubierają w swoje ciało, stają się ciałem jakiejś myśli lub ducha.—Lecz przyjąwszy za miarę wartości—ideę, musimy ją określić dokładniej,—idea może być fałszywą i prawą—a prawa jeszcze może być dwojako wyrażoną przez istotę swoją—której wyrazem jest posąg ideału—lub przez zaprzeczenie, negaciją tejże istoty—lecz wyrażoną w ten spo-

sób, że w jej rozwinięciu leży przekonanie o jej nicości bezwzględnej— wtedy ideał uwidomia się jako odblask, antyteza swojej negacji—lecz nie objawia się już w ciele, a tylko domyślnym się staje.—Otóż fantazya p. Kraszewskiego wyraża ideę ideału—przez jego nagaciją—bo Jan to postać człowieka, co mając siły umysłu i uczucia bogate—marnotrawi je egoistycznie—i sprzedaje swe życie za chwilę roskoszy samolubnej—lecz w statecznem jéj rozwoju leży ideał domyślny—wtedy gdy konającemu ksiądz ziomek powiada: „że zamiast umrzeć z rozpaczy, czyż nie ma dziś tysiąc innych śmierci, z których każda świeciłaby spółbraci i potomnym gwiazdą przykładu—i t. d."—nie można zaprzeczyć, że podobnie (przez negaciję) ukazany ideał wywrze wpływ na czytelnika, lecz nigdy taki, jaki wywiera ideał wyrażony w ciele, przeprowadzony jasno i promiennie przez dzieje dramatu—który wtedy ożywia się obecnością jego—takim ideałem jest *Alf*—syn kapłanki, lub wreszcie Harwej-Birch. — Czemu pan Kraszewski, mając tak znakomity talent, nie probuje wykuć posągu?— dla czego swoję ideę przez negacyę wyraża, jak to widzimy: w Świat i Poeta, Latarni czarnoksięzkiej—i nakoniec w obecnej fantażji? nie sądzim ażeby znakomity autor Ulany uważał podobny sposób wyrażania za bardziej wpływowy ani za *piękniejszy*—boć to dość jasno, że sama istota musi być lepszą (?) od swego przeczenia.—Nie chcielibyśmy jednak, by czytelnik zrobił z naszej zasady dijalektyczną szlafmycę, którą odwróciwszy mógłby powiedzieć: że ponieważ prawda jest przeczuciem fałszu, więc fałsz jako istota, lepszy jest od prawdy—co do nas, za istotę uważamy tylko piękność i prawdę (Ideał)—i takiéj istoty, takiego ideału wymagamy od p. Kraszewskiego—bo powieść dziś nie koniecznie ma być epopęją współczesną, jak chce mieć pan Kraszewski w Epilogu *Latarni*— dziś ona ma równe z poeziją i filozofią zadanie—wyszukanie prawdy i potężne, jasne jej objawianie w ideale, ale w ideale z ciałem i krwią—w ideeale żyjącym. — Mimo tych zarzutów, zawsze jednakże fantazija *pod Włoskiém niebem* należy do najlepszych utworów w tym rodzaju—i nie *jak świat filut, co to nic za życia przyznać nie chce*, lecz szczerze, serdecznie dziękujemy autorowi za tę nową jego pracę, gdzie pojedyncze niektóre epizody do głębi serca wzruszają, a inne dowodzą niepospolitego

ukształcenia i wysokiego stanowiska autora. — Piąta pieśń Danta, która służy za wstęp fantazji, według nas nie dość starannie przełożona—nie przytaczamy tu jej —jak również niektórych ustępów fantazji prześlicznie napisanych—dzieła p. Kraszewskiego są u nas tak popularne, że podobne cytacije—byłyby zbyteczne.

Aleksander Niewiarowski.

POGANKA.

(Dalszy ciąg).

Jednego dnia, był to dzień lipca, ale już ku wieczorowi schodzący —duszny, bez słońca i bez burzy, ciężki jak niebo gdy deszczem zapłakać nie może, a coraz niżéj, coraz ciemniejszemi i pełniejszemi chmurami ziemię naciskać musi. Gdybym w dniu takim był spokojnie z założonémi rękoma chciał siedzieć; toby mi było piersi rozsadziło—wiedział już o tém poczciwy Bazyl, mój najdawniejszy jeszcze z lat dziecinnych znajomy, a teraz więcéj towarzysz niż sługa.—W pogodę nie pytał się o mnie lecz na słotę, zawsze starannie konia obrządził i wszystko do okulbaczenia przygotował, bo nie mylnie po skończonéj pracy, siadałem na niego i daléj w góry w lasy; tego dnia jednak miałem inny cel podróży. Na poczcie sąsiedniego miasteczka musiał być dla mnie list z domu, już od dwóch tygodni czekałem go z największą niecierpliwością a zawsze daremnie; mój kary Sokół, jak gdyby wiedział o tém, sadził najposuwistsze kroki najrówniejszego galopu, a ja tak się ukołysałem, że mi cugle z rąk wypadły. Jechaliśmy lasem, gęstość drzew przejmowała resztki nieczystego światła, na około była tylko owa, jak to się często zdarza, owa widna ciemność. W tém niespodzianie gałęzie jakiegoś drzewa z szelestem łamać się zaczęły, coś parchnęło, syknęło, dwie źrenice dzikiego żbika jak dwie krwawe iskry zaświeciły i tuż przed łbem końskim z łoskotem ciało jakieś na ziemię

upadło, nim zdążyłem pomiarkować co to być mogło, już mój Sokół zarżał przeraźliwie, w bok się rzucił i poniósł mię jak szalony.

Pozwieszane nad gościńcem dłuższe drzew konary biły mię w twarz, biły mię w oczy—łatwo mógłem o pień który głowę sobie rozbić.— Cóż tu czynić moi państwo?—Oto żebyście wiedzieli, z całej siły na większy pośpiech gwizdnąłem Sokołowi—a potem przytuliłem się do jego miękkiej grzywy, jak dziecię do najwygodniejszej poduszki—i myśliłem—„ha! niech sobie leci gdzie chce i póki chce mój Sokół!" —Więc też Sokół leciał—a mnie leciały przez głowę różne obrazki, roidła, wspomnienia—aż nadleciały i słowa Cypryana w owej pamiętnej nocy słyszane.—Doprawdy zdało mi się, że nie przez porównanie, ale rzeczywiście, widomie, osobiście, z przestrzenią się ścigam.—Było to jakieś dziwnie miłe uczucie—przestrzeń uciekała po za mnie czarnym potokiem usuwającej się z pod końskich kopyt ziemi—przestrzeń tuż obok mnie biegła dwoma rzędami ciemnych, dziwaczących, olbrzymich postaci—przestrzeń wyścigała mię w górze wielką z rozpiętemi skrzydłami chmurą, której dobiedz nigdy nie mogłem, którą zawsze jakby ducha ptaka widziałem przed sobą.— Ach! powiadam wam że to było prześlicznie.—Gwizdnąłem raz jeszcze—Sokół nie biegł, nie leciał—Sokół chyba swoim mocnym przyśpieszonym oddechem wciągnął w siebie całą bajeczną miejsca odległość—gdyż nagle uciekły postacie olbrzymy, uciekł ptak chmura, został tylko przestwór bez granic—bez przedmiotu—bez tła—ale przestwór głośny świszczącém koło uszu powietrzem i bijącémi o kamienisty grunt podkowami, przestwór rozjaśniony od spodu rzęsistym gradem iskier, które w przelocie łącząc się promieniami, tworzyły czasem niby łamania się jakiejś ognistéj fali—a z jednéj i z drugiéj strony tak ciemny—tak ciemny, że chyba świata nie było.—Wtém nagle wyskakuje massa czarna, ogromna—to góra, ale daleko—na téj górze łuną bije godna tego krajobrazu pochodnia—może wybuch Wulkanu?.... ot, już blisko.... nie, to nie Wulkan—to gmach tylko cały w płomieniach—a mury grube jak czarna siatka, odbijają nieprzejrzystemi kratami od téj ze wszystkich okien rażącéj światłości.—Czy gmach się pali?... Nie—to jakaś uczta zapewne, bo mię niby dźwięk muzyki zaleciał—niby gwar ludzkich głosów—ale Sokół tém okropném rżeniem boleści i trwogi, co to

je kwikiem końskim nazywają zgłuszył wszystko—poczułem drgnięcie całéj skóry jego—mokre płaty ciepłéj piany padły mi na ręce i na czoło—znać było że sił nowych dobywa.—Chciałem wstrzymać—żal mi się zrobiło karego—lecz gdzież tam wstrzymać podobna?—Szarpaliśmy się przez chwilę, a ledwie tego dokazałem, że gdym chciał w tył zawrócić, on na bok skręcił i znowu biegł strzałą. A więcéj moja niż jego była w tém wina.—Przyznam się że lubiłem ową tabunową niesforność—i nigdy go od tysiącznych nie odzwyczajałem narowów, bo mi jakoś było przyjemniéj polulać na takiém samowolném i dzikiém stworzeniu, miléj popróbować się lub jak dnia owego poszaléć z taką swobodną i nieugiętą naturą, niż mieć tylko ciągle posłuszne méj woli narzędzie.—Zresztą trzech rzeczy pewny byłem—nóg Sokoła że się nie potkną—popręgu siodła że nie pęknie—siebie samego, że nie spadnę i że gdy zechcę, bez szwanku choćby w największym pędzie na ziemię zeskoczę.

Tymczasem przez cały dzień nabrzmiewające chmury, coraz gęściej zbijały się po niebie—przeciągły huk grzmotu rozlegał się i konał długiém ponurem echem—od chwili do chwili, błyskawica zapalała półwidnokręgu i znów gasła—gorącość jakaś ciężka, dusząca wypełniła powietrze, ale żaden wichru poświst, żadna deszczu kropla nie ulżyły obłokom, nie odświeżyły ziemi.—Spojrzałem do koła, góra, zamek, światła, wszystko jakby się w ziemię zapadło i zniknęło bez śladu.—Gdzie szła droga, ni dopatrzyć, ni domyślić się nawet.—Wtém, chrapliwy i natężony oddech drugiego konia, ucho moje uderzył.—Zwróciłem się na prawo i rozeznałem wśród ogólnéj czarności, jakąś czarność mocniejszą, prawie do cieniu mojego podobną, gdyż miała także kształt ludzkiej na koniu siedzącéj postaci.

— Z drogi, z drogi! ozwał się głos pełny rozkazujący lecz miękki, jak gdyby się z piersi niedorosłego młodzieńca wydobył.

— A z któréj i na którą mój niewidzialny towarzyszu? odrzekłem bardzo wesoło, wdzięcznym ci będę jeśli mi to powiész, gdyż właśnie zdaje mi się że zbłądziłem trochę.

Zamiast odpowiedzi usłyszałem mocne świśnienie pręta, i smagnienie które na łeb Sokołowi padło—a potém śmiech przycięty, wyzywa-

jący i szelest niby długiej szaty, która mię w przelocie lekko nawet z boku musnęła.

Zerwałem się na strzemionach jak gdybym mógł był i sam dowidzić i stać się widzialnym.

— Ha! kiedy tak! krzyknąłem, więc teraz mnie z drogi, mnie z drogi precz!

I w tejże chwili owładnąłem Sokoła co się zwżymał i wyginał, potoczyłem nim jak dzieckiem, jak własną ręką, jak myślą moją—nie zastanowiłem się co chcę uczynić, co zrobię? tylko instynktowie czułem potrzebę ciśnięcia się na poprzek temu szaleńcowi, choćbyśmy we wzajemnem starciu wszystkie kości mogli strzaskać sobie.— Mój kary odgadł zamiar—rozjątrzony własną obelgą, lepiej, zupełniej zjednoczył się z chęciami mojemi; wszystkich muskułów siłę natężył i wspiął się niby do przeskoczenia najwyższej baryery—lecz nagle—długim wężem rozdarło się niebo—piorun—trzask—blask—jedno oka mgnienie—czy wy rozumiecie jak to wszystko było prędkie—jak niespodziane.— A jak to trwa długo!.... Jam ją wtedy ujrzał po raz pierwszy.

Tak jest, po raz pierwszy ujrzałem przy jednym błysku pioruna.— I najpierw zalśniła mi tylko jéj twarz blada a cudnie piękna—reszty postaci dowidzić nie mogłem.— Pamiętam że targnąłem koniem—że później on mną targnął—że niepojętym dziwem utrzymaliśmy się oba, ale jak się to stało—jakim sposobem wkrótce zrównałem się z nią i przy jej boku koń w konia sadziłem—tego dziś jeszcze sobie wytłomaczyć nie mogę.

Długo jechaliśmy tak obok siebie w najgłębszem milczeniu, tylko już wicher zrywać się zaczynał, kiedy niekiedy szerokie krople deszczu na twarz lub ręce spadały i kiedy niekiedy znowu świstał w powietrzu ów pręt do biegu naglący—ale przynajmniej nie mojego na ten raz wierzchowca. I owszem znać było, że ciemna postać kobiety chce mnie prawem prostego wyścigu uprzedzić. Lecz nie z Sokołem taka sprawa—moj Sokół wyciągnął się struną tuż przy ziemi i na krok przegonić się nie dał—i pędziliśmy oboje, a tylko z ruchu i ze słuchu miarkowałem, że po kamieniach lub po piasku, że po zagonach lub po łąkach pluskających wilgocią.—Nareszcie droga w górę się podnio-

sła i galop naszych koni ociężał trochę.—Towarzyszka moja z największą niecierpliwością kilka razy syknęła—a mnie się zdało że po za nami tentent jakiś słychać było.

—Nie—nie! aby też oni mię nie doścignął! powtórzył kilkakrotnie ten sam głos śmiały a dźwięczny, który mi się z początku głosem młodzieńca wydawał i nie wiem czy za jego pomocą, czy za pomocą ostrogi na długość szyi końskiej, ciemna postać wysunęła się przedemnie. —Deszcz już wtedy lał strumieniami—błyskanie ustało—nie widziałem nic a nic dokoła—tylko mi wśród czarnych owéj nocy obrazów, świeciła jakby czarodziejską sztuką najdokładniéj w pamięci odbita twarz téj kobiety—a twarz sama bez innych członków ciała, bez zaokrąglenia nawet w pełność wydatnéj głowy—twarz jakby z srebrnéj tarczy księżyca wykrojona na tle zupełnie bezbarwnego nieba.

Czyż ja chciałem ją gonić—to Sokół mój gonił przecięż—gonił—i gdyśmy u szczytu góry stanęli kopyta jego o bruk zadzwoniły.—Rozeznałem jakieś załamy murów—po odbiciu tententu odgadłem, że się jedno i drugie sklepienie przebywa, aż nakoniec brzęknął gdzieś łańcuch—rozpadła się, mógłbym najsprawiedliwiéj powiedzieć rozpękła, wzniesiona przed nami massa i niespodzianie płomienna jasność wylała się z tego otworu—domyśliłem się tylko, że to był ów gorejący zamek do którego z innéj przybyłem strony, ale przekonać w pierwszej chwili nie mogłem zupełnie, tak mię to nagłe światło oślepiło.— Gdy mi źrenica nieco przywykła do niego—ujrzałem przez dwóch ludzi trzymaną i ponsowym okrytą czaprakiem śliczną arabską klaczkę, trochę do naszej Zitty podobną, ale daleko piękniejszej rassy jeszcze. —Ta, która na niej jechała przed chwilą—już zsiadła i zniknęła—przy mnie zaś stał murzyn w bogatym żółtym ubiorze i niby na odebranie cugli czekał jedynie.

Gdybym się był wtedy kogo bądź tylko o drogę zapytał—gdyby konia skręcił, gdyby wrócił do domu!.... ha prawda! niby to nie pomogło już.—Mnie też myśli podobne nie przyszły do głowy.—Zeskoczyłem na ziemię, Murzyn konia odebrał, a przy progu sieni stojący z wielką srebrną laską, żółto i czarno ubrany szwajcar, w milczeniu skłonił mi się i drzwi wskazał na lewo—poszedłem na lewo i

tak ciągle niememi znakami służących wiedziony, przebyłem pełno salonów azyatyckim zbytkiem ozdobnych, aż nakoniec wszedłem do małéj przybocznéj komnaty, gdzie dwóch chłopców na raz, jako gotowych do usług stanęło.

— Co pan rozkaże?

— Jakiego pan sobie życzy przebrania?

W istocie czas było żeby już przecię głos ludzki wywiódł mię z tego odurzenia, w którym od chwili mego przybycia zostawałem. Zapytania chłopców przekonały mię, że mój sen rzeczywistością—że ja z żywemi ludźmi mam do czynienia.

— Nic nie rozkazuję i żadnego nie chcę przebrania, odpowiedziałem im po chwili — szczególniejszy przypadek sprowadził mię w te miejsca—nie znam w nich nikogo, ale znaćbym pragnął żeby się z obecności mojéj usprawiedliwić i wytłómaczyć.

Chłopcy z zadziwieniem po sobie spojrzeli.

— Przed kim pan chcesz się tłómaczyć? zagadnął jeden z nich wreszcie.

— Przed panem lub panią waszą.

— Pana nie mamy, odparł z niejaką dumą starszy prześliczny brunecik w szkockim ubiorze, w czarnej aksamitnej z orlim piórem czapeczce. — I pani jest panią tego zamku, lecz nie naszą panią, przydał drugi młodszy jego towarzysz, jaśniejszych włosów, jaśniejszych oczu, ale tak podobny pierwszemu jak drobniejsze i nieco bledsze tylko tego samego obrazka odbicie.

— Więc chciejcież mi powiedzieć czy z panią tego zamku będę mógł się widzić?

Rzucili okiem na zegar i prawie jednocześnie odrzekli:

— Za dwie godziny dopiero ma się bal zacząć.

— Lecz ponieważ ja na balu nie będę—niech który z was pójdzie i wcześniejsze wyrobi mi posłuchanie.

Ledwo tych słów domówiłem, drzwi się otworzyły i wszedł wysoki, chudy mężczyzna cały czarno ubrany ze złotym łańcuchem, który mu po zwierzchniej sukni od ramion aż za piersi spadał.

— Moja pani, rzekł tak jednotonnym głosem, jak gdyby echo w nim tylko jego własne powtarzało słowa, moja pani pozdrawia pana go-

ściem w domu swoim—prosi żebyś z nią dzielił ucztę nocy dzisiejszej i przyjął jaki sam zechcesz ubiór dla odmienienia sukien deszczem zmoczonych.

— Proszę w imieniu mojem (znowuż uczułem że mię sen ogarnia, odpowiedziałem jednak z największą w świecie powagą), złożyć za gościnność dzięki—a na rozkazy oświadczyć posłuszeńswo.

— A zatém pan będziesz na balu i przebierzesz się? zapytał młodszy chłopiec po odejściu wysokiego jegomości.

— Będę na balu i przebiorę się — powtórzyłem jakby z pamięci jedynie.

— Oh! to dobrze! oh! to dobrze! zawołały chłopczyki i potém jeden przez drugiego zaczęli mi różne wyliczać stroje.

— Przebierz się pan za Turka, to strój taki pyszny, dijamentów na nim tyle, mówił starszy.

— Przebierz się pan za minstrela! to nierównie piękniéj głosował młodszy.

— Za rycerza, mamy zbroję lekką, stalową, całą złotem nabijaną.

— Za Albańczyka, oh! już lepiej za Albańczyka!

— A ja powiadam za króla z uczty Baltazara! to najbogatsze.

— Co téż ty wygadujesz—ten pan taki młody miałby się za jakiegoś starego króla przebierać—ot, ja wiem co on wybierze, pewno szatę lewity—wszak wiesz bracie ową szatę dorastającego Samuela—białą z najcieńszéj kaszemirskiéj utkaną wełny--panu w niej będzie prześlicznie.

— Już ja się przyznam, żebym wolał jako uczestnik tajemnic Mitry wystąpić.

I długo tak jeszcze prędka szła między niémi rozmowa i wyliczali wszystkie przepychy, kosztowności jakby na rozkaz mój czekające, a ja do wyboru myśli i woli zebrać nie mogłem.—Wreszcie jakieś życzenie błysnęło mi w duszy.

Czy macie strój dawnych Grekow?—strój Ateńczyków?—zagadnąłem niechcący.

— Oh! są! są cudne!—wykrzyknęli oba i w ręce klasnęli.

— Są ubiory Harmodiusa i Arystogitona—ubiory świąteczne, ze sztyletami wśród wieńców bluszczowych.

— Jest ubiór mędrca Platona.

— Jest ubiór poety, zwycięzcy na olimpijskich igrzyskach.

— Jest ubiór Alcybiadesa.......

Ten ostatni wyraz uderzył mię, jak gdyby własna myśl moja wyskoczyła z głowy i znów do niéj cudzym chciała wrócić głosem—wrażenie było silne, lecz téż przywołało wszystkie w rozmarzeniu zawieszone władze mojego umysłu.

— Nie, nie—odparłem dość prędko—nie chcę pożyczonym zbytkiem i kłamaną postacią witać miejsc tych pani—dajcie mi skromne góralskie odzienie, lub w moich własnych sukniach do niéj pójdę.

Skrzywił się trochę starszy chłopiec—młodszy zastanowił się przez chwilkę, ale wkrótce dość wesoło uśmiechnął.

— No, ja ci mówię że i tak będzie mu pięknie, rzekł pół-głosem do brata—i oba wybiegli—i oba wrócili niezadługo z najwierniéj naśladowanym—ale jakże wykwintnym strojem tatrzańskiego górala!

Przywdziałem go—zupełnie dla mnie prawie zrobiony—i biała nie przebitéj gęstości koszula—i płaszcz ciemny kolisty—i pas, i kapelusz i łapcie nawet z jedwabiem lśniącego łyka palmy uplecione.—Starszy chłopiec kilka razy przeciągnął ręką po moich włosach, włosy nigdy gładziéj w bogatszych i połyskliwszych pierścieniach na ramiona moje nie spadły.—Młodszy docisnął zawiązek obuwia i noga moja nigdy swobodniejszą i lżejszą się nie poczuła.—Od czasu do czasu patrzyli mi w oczy, potakiwali głową i uśmiechali się.

Nakoniec wybiła godzina pierwsza nocy, druga mojego pobytu—znów drzwi się otworzyły, znów mi skinieniem ręki drogę wskazano, znów od drzwi do drzwi, od znaków do znaków przechodziłem pokoje, schody, niby sienie wielkie, niby długie krużganki, a tłumiona muzyka przedzierała się zewsząd: ze ścian, sufitów, posadzek—a mnóstwo postaci snuło się i migało różnokolorowémi skrojami szat swoich a każdy to uśmiechem, to ruchem głowy, to spójrzeniem się witał, a ja sam szedłem—nieznany—nie znający—lecz dumny i śmiały.—Ostatnie podwoje rozwarł przedemną jakiś herkulesowych kształtów Afrykańczyk z pojętnym wzrokiem, z świecącą od czarności skórą—jakby umyślnie postawiony tam dla przeciwieństwa z tym co go odsłaniał widokiem.—Bo jakiż widok moi państwo!—jakie rażące blaski

od świec, od lamp kryształowych, od strojów mężczyzn i kobiet—za lada poruszeniem czoła, ręki lub szaty przewiewnéj, padały iskry dijamentów, rubinowe połyski, a co tam głów, co rąk, co tam szat w ruchu! a ile dźwięków i téj niewidzialnéj muzyki i tego gwaru poszeptów i tego szelestu miękkich jedwabnych materyj —a ile woni najrzadszych kwiatów,najkosztowniejszych kadzideł, a jak to wszystko objęte z trzech stron trzema zadziwiającéj wielkości zwierciadlnemi taflami, a z czwartéj przedłużone w nieskończoność jakiegoś ciemnego zagajenia, które białym kwieciem pomarańczy i świeżemi liściami akacyi, gwałtem się między biesiadników cisnęło, a jak to wszystko cudnie z wierzchu szklanną przyodziane kopułą, że tylko klęknij i módl się, bo już ucichła burza, najczystsze niebo widzisz nad sobą i Bóg sam wszystkiémi gwiazdami przygląda się czy też to prawda, że na jego ziemi ludzie tak bardzo szczęślliwi być mogą.

Rzuciłem się na pierwsze bliżéj spotkane wezgłowie, zdjąłem kapelusz, bo mi dla skroni wszystkiémi pulsami bijących już zbyt ciasnym się zdawał, przycisnąłem ręce do piersi i w słuchu, w oku zawisłem całą duszą moją.

Kilka osób przemówiło coś do mnie—popatrzyłem, nie odpowiedziałem i odeszły z uśmiechem na twarzy—one pojąć nie mogły bezwątpienia, co znaczy takie bezsłowne uniesienie przybysza—one zrodziły się i wzrosły wśród tych przepychów—ale mnie z ubogiej rodziny najmłodszemu dziecku, mnie biédnemu górnikowi, mnie, któremu zasiane przez Cypryana fantazye tak bujno rozkrzewiły się w nieograniczone marzenia i chęci—cóż dziwnego że przy ich pierwszém nadspodziewaném spełnieniu, trochę się zaćmiło w oczach, trochę pokręciło w głowie. Jednakże wtedy jeszcze przy niespożytych zasobach méj młodzieńczéj siły, to zawsze miałem w sobie, że pomimo największéj skłonności do rostopienia się w jakiejś, że tak powiem, senliwej ułudzie, pomimo najżywszéj, najdziecinniejszéj wrażliwości mojéj; z każdą chwilą gwałtowniejszego przejścia odzyskiwałem zupełną równowagę władz mego umysłu, i to zazwyczaj co się zdawało być przeznaczoném do zupełnego stargania już nadwątlonych włókien zimnego sądu i stanowczéj woli, to mię zwykle właśnie wyzwalało z pod zewnętrznych wpływów—to mi sąd i wolę, kamienną wolę wracało.

Otóż i téj nocy dźwiękami, woniami, światłami upiłem się niby wymiarkowaną na ten skutek dozą wschodniego narkotyku—lecz tuż przy mnie ozwał się dźwięk jéj głosu, rospłynęła dokoła woń jéj szaty, zaświecił blask jéj cudnego oblicza—jam powinien był od razu stracić rozum—oszalić... a ja właśnie na chwilę przyszedłem do rozsądku. —No, proszę was, piękne panie i młodzi panowie, nie krzywcie się tak bardzo na ten wyraz—rozsądek to jest kawałek owego powszedniego chleba o który w pacierzu matki was prosić uczyły—rozsądek najpośledniejszy wyrób ludzkiego mózgu, szmatka na którą wszyscy ubodzy w duchu zdobyć się mogą, klej co w spójności trzyma mędrców i prostaczków gdy im najwyższego religjamentu, gdy im miłośc zabraknie.—Francuzi trochę lepsze od nas mają na to wyrażenie, oni ten rozsądek, o którym ja chcę mówić, zowią: le sens commun—i w istocie jest to jakiś zmysł powszechny, za pomocą którego można przyswoić sobie, można się wtajemniczyć niejako, w sposób widzenia tak ogólny, że na co spójrzę to mi się przedstawi takiém, jakiém jest dla wzroku innych, a dopiero co ja tam dojrzę w przydatku, w ujemności, lub w odmianie zupełnéj, to już moja własność, mój twór—ale zawsze, bąć co bąć, ja do źrenicy mojej gromadzę wszystkie promienie, pod któremi ludzie bracia na świat Boży patrzą—ja mam zmysł powszechny—sens commun—który jeśli chcecie ochrzcijcie sobie nawet pospolitym zmysłem, zawszeć on mię włączy w massę ogółu, zawszeć on mi nie da odpaść w dziwactwo i niepojętość.—Bo proszę was powiedzcie mi, na co się niepojętość przyda? na co ja przydałem? —Ach! prawda, i Bóg także jest niepojęty—Bóg konieczność—Bóg przeznaczenie—lecz On ma czas, wieczność i prawdę niezjawioną—a człowiek co ma—a ja co mam? Szaleństwo.....

Wtedy miałem jeszcze rozsądek—i widzicie o moi dobrzy słuchacze, bez owej resztki rozsądku nie byłbym dziś w stanie powiedzieć wam nawet jaką to była ta kobieta, co mi życie wzięła?—bo jaką ja widziałem ją potém, oh! to wy pewno niebyście nie zrozumieli gdybym wam gadać zaczął—czy są też wyrazy po temu ja nie wiem i nie szukałem ich nigdy—ale jaką ona dla innych wydawać się mogła, to wam powiem—słuchajcie:

— Wysoka była—blondyna, miała w czarnych rzęsach ciemno-zielone oczy—na twarzy jakby ślad znikającego rumieńca, na spadzistych ramionach, na wydatnéj piersi lekko żółkniejącą białość marmuru.—No i cóż wszakże jak gdybyście ją widzieli przed sobą?—Oh! prawda —właśnie też!—ona wysoka—ale przecięż nie jak inni ludzie wysoka wzrostem i ciałem—ona wysoka postacią—chodem—ruchem —ona wysoka spojrzeniem patrzących na nią, bo to spojrzenie musi w proch upaść—musi w ziemi utkwić pierwej nim się ku jéj obliczu wzniesie—a od ziemi do jéj oblicza, to jak od ziemi do nieba—i dla tego mierzy się ją rozmiarem doznanych wrażeń i mówi: ona wysoka —a czy blondyna? wierzcie mi państwo, że ponieważ nigdy na pamiątkę nie dostałem od niej: „plecionki włosów, różową wstążeczką lub błękitną pelą związanej"—nic a nic nie wiem o właściwym ich kolorze—w pierwszej chwili nazwałem blondyną, gdyż to chyba złocistych pierścieni zwoje, mogły w koło jéj twarzy rostoczyć taką jasną, przeświecającą niby wszystkiémi odcieniami bursztynu, niby wszystkiémi połyskami topazu aureolę.—Co do jéj oczu, to prawdę powiedziałem: były ciemno-zielone ale ciemno-zielone jak malachit, nie jak szmaragd—świeciły z wierzchu odbiciem tylko—bez żadnej promienności—bez tego przezrocza, którem to czasami aż dno serca widać —jéj oczy były jak nie jéj oczy—były jak gdyby zamarłe oddawna— jak pożyczone u trupa—najpiękniejsze, ale do patrzenia jedynie—do użytku, nie do szczęścia—co za dziwna sprzeczność z czołem wyniosłém i rysującemi się w każdy wyraz myśli każdej — co za dziwna sprzeczność z licem bladem, ale zda się gorącém jeszcze od krwi dopiero co ubiegłej—lub gorącém już od krwi co ma z pierwszem serca uderzeniem nadpłynąć— co za sprzeczność—co za najdziwaczniejsza sprzeczność z ustami szczególniéj—z temi jéj drobnemi choć wydatnemi, z temi jéj świeżemi jak niewinność—namiętnemi jak pieszczota ustami—takie oczy i takie usta! śmierć i życie! alboż to kiedy razem się widuje—oh! ja widziałem—ja też żyłem i umarłem.——Żyłem wtedy —umarłem teraz—wy żyjecie teraz i umrzecie kiedyś, niezadługo—oto cała między nami istniejąca różnica—powinniście mię przynajmniéj z ciekawością słuchać — ja wam wszystko opowiem, tak to się umiera—za życia, ale nie teraz jeszcze—teraz ja żyję—ja

mam lat siedmnaście i siedzę na złotolitem wezgłowiu w pysznym salonie zaczarowanego zamku.—Ona stanęła przy mnie—chrzęsnęła tęga mora jéj szafirowéj sukni, przewionął mi koło oczu lekki białéj gazy obłok, na jaśniejących włosach zaskrzyła wązka na ćwierć cala tylko, lecz równémi w całéj szerokości swojéj dijamentami nabijana opaska i poznałem ją—poznałem twarz ową z blaskiem pioruna ujrzaną raz pierwszy.

— A kto doścignął, a kto w równi stanął? mówiła ona, pytacie—szukacie daremnie—to on—i trącił mię po ramieniu jéj wachlarz kosztownémi piórami chwiejący—podniosłem głowę i oczy—sam z miejsca nie wstałem—wszakże pojmujecie, że gdyby przed którym z was objawiła się jaka święta—gdyby wizyą stanął anioł naprzykład—toby żaden z was przecież nie mógł zerwać się z krzesła lub kanapy i ukłonić według towarzyskich grzeczności przepisów.—Ja też siedziałem i patrzyłem—jéj kamienne oczy przycisnęły mię do miejsca —ale jéj usta—zaczynały się zwolna uśmiechem rozciągać—zwolna, zwolna, aż perłami drobnych ząbków błysnęły.—„Przyznajcie też czy się komubąć sprawiedliwie, należało pierwszeństwo?”—dodała ciągle swoim wachlarzem o ramię moje wsparta.

Już na pierwsze jéj słowa dość znaczne w koło nas zebrało się grono, po tych ostatnich wyrazach jeszcze więcéj kobiet i mężczyzn przybyło.

— Oh! prawda.—Oh! śliczny—oh! piękny! mówiono dokoła, a ja nawet nie uczułem najlżejszego pomięszania, które tak naturalném w moim wieku i w mojém położeniu mogło być uczuciem—ja patrzyłem na nią i czy mówiła, czy milczała słuchałem jéj głosu tylko.

— Powiedzże mi góralskie dziecię wiele lat mieć możesz?—zapytała tym swoim głosem—témi swojémi ustami.

Co za szczęście, że, jak już wam wspomniałem, każda ostateczność wtedy nową siłę wywoływała ze mnie—mogłem jéj odpowiedzieć dość przytomnie.

— A pani powiedz mi także, ile to lat bywa we wszystkich dniach marzeń i w jednéj ich urzeczywistnienia godzinie?

— Czy tak, rzekła z tém samem lekkiego szyderstwa dźwiękiem, którego już pierwéj wśród ciemnéj nocy dosłyszałem.—Czy tak, mó-

biedny góralski chłopcze—wszystkie dnie marzeń i godzina ich zrzeczywistnienia—oho! ja ci powiadam że to jest sto lat z górą...

— Więc ja mam sto lat z górą—odparłem spokojnie.

— Ha! ha! ha, szanowny starcze! zaśmiała się jakaś inna kobieta—powiedz nam teraz według kalendarza datę twojego urodzenia.

— Dobrze—jeśli wzajemne odbiorę zwierzenie.

— No, patrzcie, co to za mała gadzina! ozwał się znowu jéj głos wesołą pustotą w udanéj surowości wyrazów zmiękczony.—Alboż to ci się zdaje że gdzie na swoim świecie żyjesz, na tym świecie, w którym to podobno czas złoczyńca z wdziękami i szczęściem w długiéj zawsze niezgodzie po krótkiéj harmonii bywa.—Spojrzyj do koła—czy która z nas lękać się go lub zapiérać może—czy któréj z nas braknie piękności—siły i uciech prostaczka! a wiesz ty lata nasze—ot patrz, z nas każda żyła wiek twéj szaty.—Właśnie ta co się zagadła, jest wielką kapłanką Izydy—i śmiała się z Napoleona, który przy jéj gro bie coś o czterdziestu wiekach do swoich mrówek przebąknął—a ja sama......

— Ty pani, przerwałem z żywością—nic mi nie mów o sobie, ja wiem już wszystko.....

— Przedziwny! on wié już wszystko—no powiedz zawsze niech się przekonam czy owe wszystko jest podobne do owéj cząstki tego co ja się domyślam—gdyż na prawdę nie śmiem powiedzieć tego co wiem....

— Pani urodziłaś się w którymś roku którejś olipiady greckiéj, przemówiłem bez uśmiechu, bez zająknienia głosem stałym i pewnym jako akt urzędowy—przepraszam iż w téj chwili stanowczo jéj oznaczyć nie mogę, ale mi erudycyi nie starczy na wyszczególnienie daty z tego czasu, który w ojczyznie twojéj peryklesowym wiekiem nazywano.

Zatrzymałem się—uśmiech z jéj ust zniknął—czoło jakby natężeniem szukanego wspomnienia pomarszczyło między dwoma ciemnych brwi łukami, wzrok jeszcze zupełniéj zastygł w źrenicy.

— No mów daléj—mów daléj wieszczbiarzu.

— Ja nie wieszczbiarzem, ja pani przepowiedziéćbym nie mógł ani jednéj chwili z przyszłości, ani jednego z jéj zamiarów—ja tylko przeszłość widzę—jak starzec—jak historyk.

W téj przeszłości imię twoje było: Aspazya.

Gdyby jéj oczy mogły były spoglądać nie patrzyć tylko, tobym zapewne do głębi méj piersi poczuł ich przenikliwe i długie spójrzenie—ale ona choć wzrok swój badawczo zatrzymała na mnie, uderzyła jedynie, wskroś przejąć nie mogła—inne rysy jéj twarzy odbiły lekkie ulotne zadziwienie i znów pierwszy swój wyraz odzyskały, nie mogę powiedzieć wrodzonéj, lecz jak gdyby przedsięwziętéj pustoty.

— Prawdę rzekłeś—odezwała się po chwili—jam Aspazyą—a ty?

— Mnie rodzice Benjaminem nazwali.

— Więc ty Benijamin! Oho! Benijamin to znaczy dziecię ukochane, dziecię wypieszczone, dziecię szczęśliwe—dziecię kochające.

— Tak jest pani—to znaczy to wszystko.

— Słuchajcie, słuchajcie! zawołała Aspazya, on jest kochany i kocha—potém siadłszy obok mnie tak blisko, że czułem z każdym jéj ruchem, każdy ruch dotykającéj mnie szaty.—A jakże ty kochasz Benijaminie, dodała z półuśmiechem tak wyzywającym, tak zalotnie czarownym, że wszystkie żyły gorętszą krwią plusnęły.

— A jak ty kochasz, jak ty kochasz kobieto, Aspazyo?

— Héj, dziewczęta! przynieście mi lutnię—ja kocham jak śpiewam, a wiem że kocham tylko wtedy kiedy śpiewam.

W stojącym zdala gronie młodych niby kwiatki wiosenne dziewczynek, pewien ruch się zrobił —i prędzéj niż dopatrzyć zdołałem jedna z nich już żądaną podawała lutnię.

Czy to prawdziwa tylko lutnia była? kształt dość podobny, ale z kryształu i struny złote z srebrnemi mięszane.

— Jak ja kocham? powtórzyła niby rozmarzona, niby rozmyślająca—jak ja kocham? i ręka jéj trąciła o wszystkie struny od razu, a ręka tak muskularnie silna, pomimo najdoskonalszego zaokrąglenia, pomimo najdelikatniejszéj czystości wszystkich rysunkowych obwodów, że od jéj uderzenia struny ledwo nie pękły, że zamiast wydania dźwięku one krzyknęły prawie—i od ich krzyku wszystko ucichło w salonie.

W głuchém milczeniu czekano pieśni.

— Oh! ja tak kocham! zawoła Aspazya i niespodzianie w przeraźliwym jęku wszystkie struny zerwały się pod jéj palcami i odepchnięta lutnia z szklistą skargą o marmur posadzki rozbrzękła.

Aspazya powiodła w koło siebie okiem i dumnie śmiać się zaczęła

— Czy rozumiecie co to znaczy?—to znaczy że ja kocham jak Bóg—zniszczeniem i tajemnicą.

— Nie pani, to szatan tak nienawidzi.

— Co ty wiesz góralski chłopcze—co ty wiesz Benijaminie.—Szatan i Bóg, nienawiść i miłość, czyż to nie dwa oblicza nieskończoności—a odwróciwszy się odemnie:

— Ja kocham jak Bóg—mówiła do drugich.—Miłość Boga czyż to nie jest najwyższa wyłączność—najzupełniejsze zniszczenie—najnieprzystępniejsza tajemnica.—To co trwa, to co istnieje—to Bóg wyrzucił z siebie i to jest światowe albo ludzkie.—Przeszłość tylko, któréj nikt nie zapamięta, jest z Bogiem—przyszłość, któréj nikt nie odgadnie, jest w Bogu.— Życie gasnące wraca do Boga—umierający z Bogiem się łączy—dziewica która zakonną przysięgę wymawia, Bogu się oddaje—Bóg wiecznie kocha, bo wiecznie posiada—wiecznie posiada, bo wiecznie niszczy.—Cóż wam się zdaje? że On ma tylko ziemię i niebo? gwiazdy i słońca? błyskawice i pioruny?—Szaleni! to wy macie—on ma to, czego wzrok wasz nie znieważy—ręka nie dosięgnie—i myśl nie zbezcześci—on ma tajemnice i zniszczenie.—Początek i koniec—narodziny świata i zgon.—Według słów pisma, czyż nie wiecie: że gdybyście tknęli własności Jego—onby przestał być Bogiem a wybyście się stali Bogami.—Toć przecię on musi kochać tę własność, która go Bogiem stanowi, a nie tę wypożyczoną jałmużnę z któréj wy się radujecie.—Szaleni!—Szaleni!—Jeszcze raz powiadam wam, że ja kocham miłością bożą—kocham to co moje—a mojém jest to, co tak do mnie należy jak przeszłość do Boga—jak zakonnica do przysięgi—jak zapomnienie do tajemnicy—moją jest ta lutnia stłuczona, moją pieśń któréj nie odśpiewałam—moją ta perła jedynie, którą, przykładem Kleopatry, rozpuszczoną z napojem wypije—moim ten co legnie w grobie.—Patrzcie, jak zbladło biedne dzie-

cko—oh! ty zapewne inaczéj kochasz Benijaminie.—Grajcież, śpiewajcież temu dzieciątku wasze kłamliwe piosenki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



KRONIKA PISMIENNNICZA POLSKA.

—

Szelling i Gołuchowski.—W roku bieżącym wyszła mowa Gołuchowskiego w Berlinie pod nazwą: Rede gesprochen zu Berlin am 1 Februar von Dr Joseph Gołuchowski bei Gelegenheit eines Festmahls, das derselbe *zur Nachfeier* des am 27 Januar eingetrofenen Geburtstagsfestes des Hrn Geheimenrahts von *Schelling* veranstaltet hatte.

Rosprawy Gołuchowskiego, wytłoczone w Bibliotece Warszawskiéj o Filozofii, pokazują, że ten głośny w Literaturze naszéj naukowéj pisarz, już przeżył czas swój i dziś prace jego mogą mieć dla nas tylko historyczne znaczenie i *jako takie* zajmować umysły ciekawe. Podobnie Szelling w Niemczech nie ma dziś znaczenia organicznego: nauka jego nie stanowi postępu, ale jest jakby obłąkaniem się geniuszu, obłędem nauki, ostatnim dogorywającym płomieniem nauki.

Ani Gołuchowski, ani Szelling *) nie są to dziś imiona postępu, chociaż zawsze szanowane w dziejach filozofii u nas i w Niemczech imiona i ze czcią przywykliśmy patrzyć na tych prawdziwych Nestorów nauki.

Jedna tylko myśl została Gołuchowskiemu ze wszystkich badań w dziedzinie filozofii: myśl wielka—pogodzenia rozumu i wiary, filo-

*) Ze wszystkich krytyków Szellinga, najznakomitszy jest Dr *Paulus*, który wydrukował i objaśnił lekcye Szellinga o *Objawieniu*; pisali w tym przedmiocie *Frauenstädt*, *Rosenkranz* i inni.

zofii i religii. Była to myśl godna wychowańca Szellinga, któremu Gołuchowski poświęcił znane dzieło swoje, jedynie w swoim czasie dzieło o filozofii, przełożone z niemieckiego na inne języki, wyjąwszy polski. I Szelling wystąpił niegdyś z tą myślą i tyle obudził spółczucia, tyle uwielbienia dla siebie—dopóki nie wypowiedział swych mniemań. Rozgłos o lekcyach Szellinga rozchodził się po całym świecie i z uwielbieniem prawie patrzano na starca nad grobem, wstępującego na katedrę ucznia swego—równie głośnego mędrca berlińskiego (Hegla). Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy po przeczytaniu początku lekcyj Szellinga napisałem: „Z uwielbieniem witamy Ciebie wielki Szellingu! co nam rozjaśniasz światłem filozofii wiarę ojców naszych, co podwajasz roskosze naszego istnienia otaczając uczucie, ten myśl serdeczny—jasnością myśli. Pozdrawiamy cię w imię Chrystusa, który był prawdą i życiem. Tyś naszym mistrzem, dopóki głosić będziesz drogę prawdy i życia; odstąpimy cię, skoro sam zbaczać zaczniesz; bo nie wielkie imię twoje, ale prawda twoja dotychczas jest przewodnikiem świata. Tyś jest arcykapłanem, ale na wieki.... magis amica veritas."

„Piękny to zaiste widok—połączyć rozum i wiarę, zlać w jedną harmonijną całość myśl i uczucie. Piękny widok (jak pisze Gołuchowski) tego ducha, co się tak głęboko w przepaść stworzenia zanurzyć lubił, ducha, który tak często zstępował w ciemności rody (natury) i dziejów (Historyi), aby je nowémi rozjaśnić pomysły, nowę jasność rozlać potokiem." Wszystko to zaiste cudowne! owo spokojne zagłębienie się w siebie i korne rozmyślanie o Bogu dla nabrania sił nowych i uwielbienie, ubóstwienie samego badacza—ale nauka ceni przedewszystkiem wypadki, rzecz samą a poetyczne uniesienia, fantastyczne rojenia umu rospraszają się jak mgła poranna przed światłem słonecznem filozofii. A cóż Szelling dziś uczynił dla nauki? Nic! powtórzył nam kilka urywków z kabały żydowskiej, z zabujałości dyalektycznych uczonych aleksandryjskich. Nauka jego przedstawia błędy stare jak świat, ale osłonione pozorem wielkości, uroczystości, majestatu prawdy i życia!

Szelling jednak obrał sobie cel wielki, piękny, godny człowieka; pogodzenie rozumu i wiary! Że go nie dopiął—on temu nie winien,

bo zdziecinniał na starość.—Rozwiązanie wielkiego zagadnienia zostawił nowemu pokoleniu, i potężne głowy spółczesne rozwiązują to wielkie pytanie w dziedzinie myślenia—gdy ogół społeczeństwa rozwiązuje to życiem i dowodzi w praktyce prawdy lub fałszu badań teoretycznych.

I Gołuchowski przeżył swój czas i on nam zaiste nie rozwiąże *) pytań, które zostawił znakomitym u nas przedstawcom filozofii: Cieszkowskiemu, Libeltowi, Kremerowi i t. p. Ważne jest wszakże zapatrywanie się Gołuchowskiego na rzeczy, jak ważne założenie Szellinga bez względu na dowodzenie.

Dotąd ile razy Gołuchowski dotknie jedności rozumu i wiary, zaraz ożywia go zapał młodzieńczy, piękne, godne człowieka z głową i sercem uniesienie ku prawdzie życia, ku zjednoczeniu władz duszy, co rozerwanie i nieharmonijnie działając, rozrywają duszę człowieka, paraliżują życie, psują głowę a co więcéj serce i wysuszają najpłynniejsze źródła prawdy i życia, poświęcenia.

W téj to a nie w innéj myśli przybył Gołuchowski, niegdyś uczeń Szellinga dla odwiédzenia mistrza swojego, a to nietylko dla uspokojenia serca swojego, ale raczéj aby w imieniu Słowian a mianowicie naszego plemienia, co nauce oddawna rycerską cześć wyrządzało, złożyć wysokiéj zasłudze publiczny hołd uwielbienia.

Z powodu dnia urodzin, wznosi się Gołuchowski do coraz ogólniejszych myśli: jest to najpiękniejsza część mowy jego.

Warto nabyć tę broszurkę, jako miłą pamiątkę po naszym szanownym Nestorze filozofii. **)

Majorkiewicz.

---

*) Nie mówimy tego (broń Boże!) aby Gołuchowski nie mógł rozwiązać pytań o których mowa, gdyż on ma więcéj usposobienia do filozofii niż ci, co nam pseudo-filozoficznie wykładają teoryą religii.—Ale on nie chce snać pracować już nad niewdzięcznym przedmiotem—niepomny, że człowiek na wdzięczność oglądać się nie powinien.

**) Kosztuje złot. pol. jeden, jest do nabycia we wszystkich znaczniejszych księgarniach warszawskich.

Obrazy litewskie, przez Ignacego Chodźkę. Serya czwarta. Tom pierwszy: Jubileusz i Duch opiekuńczy.—Tom drugi: Autor swatem i Panna respektowa. Wilno, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Wydanie Adama Zawadzkiego.

Obrazy litewskie były niegdyś zjawiskiem w Literaturze naszéj uderzającém, zajmującém niepospolicie. O dzisiejszych tego powiedzieć nie można—bo jakkolwiek znać talent Chodźki tu i owdzie się przebijający, *Serya* wszakże *czwarta* oddaliła się od pierwszéj jak nadyr od zenitu, o całą średnicę przeciwieństwa. Przebija się to wszędzie, iż ponieważ autor postanowił sobie napisać coś na poparcie pewnych myśli, użył więc Literatury za środek, podobne zaś zniżanie sztuki do środka, nigdy nie wytrzyma krytyki. *) Najgorsza dążność a może ograniczoność pojęcia pokazuje się w *Jubileuszu.* Autor nie ma najmniejszego pojęcia, ani się nawet domyśla znaczenia zwrotu encyklopedycznego XVIII wieku, którego dziś z Wolterem nikt z myślących, nikt uwielbiać nie będzie, ale potępiać to, co wywarło tyle wpływu na ludzkość, niedorzecznością jest: *Sapienti sat.*

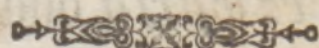
Wiecznieby, wiecznie powtarzać jedno i to samo potrzeba, co Krasicki powiedział przed laty:

„Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!" W istocie! żaden nawet poeta dziś się wznieść nad pospolitość nie zdoła, jeśli się kształcić, pracować nad sobą nie będzie. Literatura odpowiadać powinna potrzebom społeczeństwa, a jakże im odpowiedzieć zdoła, jeśli piszący stoi niżej, nie pojmuje potrzeb rozwijających się w czytelnikach i prawi im rzeczy niestworzone pod względem zasad życia?

Gdyby przynajmniej ci panowie, co nie są wykształceni naukowo, dali pokój rozumowaniu i pisali poezye, powieści, idąc za głosem serca—to jeszcze pół biedy!—Na nieszczęście jednak ludzie nie wytrawieni w życiu, powierzchowni w nauce, najczęściéj się lubią popisywać ze swojemi mniemaniami, które tylko do popisu deklamacyi przydać się mogą a na życie nie wpłyną. Tak samo Chodźko deklamuje w niektórych np. Jubileuszu ustępach—a to grzech nie do darowania, bo sensu nie ma w rozumowaniach na pozór coś znaczących, w zasadzie czczych.

*) Coś podobnego widzimy w niektórych ustępach *Listopada.*

Przykro powstawać na pisarzy z talentem, ale to złe konieczne, jedyne lekarstwo, chociaż gorzkie dla piszącego.— Jeżeli autor do naszych uwag i postrzeżeń z powodu jego dzieła kreślonych nie będzie miał spółczucia, niech wie przynajmniej, że są ludzie, w których pewne ustępy pism jego budzą niesmak i przykre uczucie, jako powierzchowne, pisane bez myśli, bez zastanowienia się głębszego nad rzeczą.



NOWINY.

W Tygodniku Petersburskim (Nr. 55) czytamy:

Wyszły: Chants populaires del' Ukraine traduits del' oryginale russe par Thadée Łada Zabłocki. A Paris 1845, in 8vo, orné d'une litographie representant un Lyrnik de l'Ukraine.

Miały się także ukazać w Petersburgu:

Podróż po Finlandyi w r. 1841 odbyta przez Romualda Podbereżskiego.

— Przygody człowieka pozbawionego cienia, przez tegoż.

— Mahmudek, powieść z dziejów Kaukazkich, przez Władysława Strzelnickiego.

— Panorama miasta Połocka, ze strony miasteczka Ekimanji, obywatelstwu białoruskiemu poświęcone, przez R. P. — z natur. rys. p. Alb. Minjatt'a, przerys. p. Alb. Żameta, a litogr. p. Napoleona Cui, odciśnięto zaś dwoma odcieniami na wielkim arkuszu w litografii paryskiéj p. Paul-Petit.

— Jagmin Alfons, Doktor Medycyny, którego listy drukowane były w Tygodniku Petersburgskim, wydał po rossyjsku dzieło *o Stepach Kirgizkajsackich*, pod względem lekarskim, botanicznym i geologicznym.

— Gotuje się do druku: *Rys Historyi powszechnéj*, napisany podług dzieł Raumera, Ranke i t. p.

